

RELACJE Z ZESŁANIA

Być może nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Karol Malinowski – *O pobycie na zesłaniu*

Karol Malinowski urodził się 10 listopada 1931 r. we wsi Chorłupy (gmina Ołyka, powiat łucki, województwo wołyńskie) w rodzinie policjanta. W 1936 r. zaczął edukację szkolną, przerwana 17 września 1939 r., zaraz po radzieckim ataku na Polskę. Wraz z matką i pięciorgiem rodzeństwa 13 kwietnia 1940 r. został deportowany do Kazachstanu. Do Polski wrócił w czerwcu 1946 r. Początkowo zamieszkał w Kłodkowie, małej wiosce na terenie Pomorza Zachodniego. W 1947 r. przeniósł się do Trzebiatowa, w którym mieszkał do śmierci (2010), nie licząc okresu nauki i służby wojskowej. Początkowo uczęszczał do gimnazjum ogrodniczo-pszczelarskiego w Drawsku Pomorskim. W 1952 r. został absolwentem Liceum Ogrodniczego w Pruszkowie. Przez następne trzy lata przebywał w wojsku. Po jego opuszczeniu podjął pracę w Instytucie Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa oraz rozpoczął studia zaoczne.

Tytuł inżyniera uzyskał w Wyższej Szkole Rolniczej w Szczecinie, natomiast tytuł magistra w szczecińskiej Akademii Rolniczej. Tam też zaproponowano mu pracę nad doktoratem, z czego jednak nie skorzystał, decydując się na pełne poświęcenie się pracy zawodowej. Przez następne lata zatrudniony był w Gospodarstwie Przemysłowo-Rolniczym oraz pełnił funkcję prezesa Spółdzielni Kółek Rolniczych. Kilkakrotnie wybierano go na radnego miejskiego. W 2001 r. został przewodniczącym koła Związku Sy-

biraków w Trzebiatowie. Obowiązki te starał się wypełniać najlepiej, jak potrafił.¹ Zmarł 3 września 2010 r.

Anna Szymczak

*

W 1920 r. mój Ojciec Andrzej Malinowski oraz jego trzej starsi bracia przenieśli się na Kresy Wschodnie, do miejscowości Chorłupy. Kupili tam 4 działki, po 10 hektarów ziemi każda, za pieniądze ze sprzedaży majątku rodziców w Zalesiu w województwie łódzkim.² Na Wołyniu musieli pracować od początku, od zera, aby stworzyć z niczego swój nowy dom. To w nim właśnie Tata zamieszkał z żoną Elżbietą i w nim urodziliśmy się my: Władzia (ur. 1924), Marysia (ur. 1926), Stefcia (ur. 1929), Zygmunt (ur. 1930), ja i Danusia, która w chwili deportacji miała tylko 9 miesięcy. Dwaj wujkowie, w odróżnieniu od taty, nie potrafili zaaklimatyzować się w nowym miejscu, więc opuścili Wołyń. Ojciec przejął po nich ziemię. Ciężko pracował, ale jego wysiłek przynosił efekty: szybko zbudował dom i budynki gospodarcze. Wszystkie środki inwestował w ziemię. Dobre czasy skończyły się we wrześniu 1939 r. Początkowo byliśmy pełni wiary, że pokonamy niemieckiego wroga. Po wkroczeniu na polskie ziemie wojsk radzieckich to się zmieniło. Szybko zorientowaliśmy się, że sowieci czują się tu jak u siebie, a Polaków mają zamiar traktować jak przestępców, inaczej tego nazwać nie potrafię. Wkrótce ludzie zaczęli opowiadać, że na stacje kolejowe podstawiane są coraz to nowe wagony towarowe. Pojawiły się plotki o wywózkach na Sybir, ale jeszcze do 1940 r. mieliśmy nadzieję, że nas one ominą. W lutym jednak wywieziono rodziny osadników wojskowych, sąsiadująca z nami wioska opustoszała. Mama suszyła więc suchary, Tata zabił świnie, z której mięso i słoninę zabraliśmy do Kazachstanu.

Po ojca enkawudziści przyszedli 12 kwietnia 1940 r. Mieli broń, otoczyli i przeszukali dom. Tata został aresztowany, ale nikt nie powiedział, ani za co, ani po co? Wozili go od więzienia do więzienia. Osadzono go w Łucku. Później przeniesiono do Lwowa, następnie do Kijowa, a wreszcie do Charkowa, gdzie dowiedział się, że skazano go na osiem lat w przymusowym obozie pracy. I tak mógł mówić o sporym szczęściu, bo był to najniższy z możliwych wyroków.³

¹ Relację tę zanotowałam będąc studentką Uniwersytetu Szczecińskiego. Dzięki staraniom K. Malinowskiego kolejne osoby zrzeszone w Kołach Związku Sybiraków powiatu gryfickiego zgodziły się na udzielenie informacji z pobytu na zesłaniu. Dzięki temu powstała praca magisterska poświęcona życiu codziennemu zesłańców latach w 1940-1946 deportowanych na Syberię, do Kazachstanu i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Obecnie jestem doktorantką US i kontynuuję wcześniejsze badania. Relacja K. Malinowskiego jest ważnym źródłem informacji, mimo pojawiających się w niej pewnych błędów i nieścisłości.

² Informacja ta nie musi być całkowicie zgodna z prawdą. Być może A. Malinowski stał się właścicielem tej działki nie jako zwykły kupiec, ale, będąc wcześniej członkiem tzw. Legionów Piłsudskiego, jako osadnik wojskowy.

³ Nie jest to informacja zgodna ze stanem faktycznym. Co prawda, Polacy najczęściej skazywani byli na co najmniej 10-letni pobyt w łagrze, ale zdarzało się, że obywateli polskich uznawano za element społecznie niebezpieczny (tzw. SOE) i skazywano

Ojciec został skierowany do obozu koncentracyjnego, do łagrów peczorskich,⁴ gdzie pracował przy budowie jakiejś linii kolejowej. Jeśli wykonał normę, za swoją niewolniczą pracę dostawał codziennie porcję 500 gramów chleba. Współwięźniowie nauczyli go jednak, by normy nie wykonywał, gdyż oznaczało to szybką śmierć z wyczerpania. Ojciec ich posłuchał i przydzielano mu od-tąd już tylko 250 gramów chleba.⁵ Po pewnym czasie, podczas transportu do nowego obozu, wszystkim Polkom kazano wystąpić z szeregu. Byli pewni, że czeka ich śmierć, tymczasem jednak usłyszeli wiadomość o amnestii ogłoszonej po podpisaniu układu Sikorski-Majski. Tata załapał się do armii Andersa, choć nie bez przeszkód. Najpierw podróżował przez ZSRR uczepony wagonów ko-lejowych, później od polskiej komisji poborowej usłyszał, że nadaje się nie do wojska, ale do trumny. Nic dziwnego, młody nie był, a po opuszczeniu łagru ważył jedynie 45 kilogramów.⁶ Ostatecznie Ojciec został sanitariuszem w woj-skowym szpitalu medycznym w Aleksandrii, gdyż z powodu silnego osłabienia organizmu nie mógł walczyć na froncie. Wrócił do Polski z Anglii w 1947 r.

Po nas enkawudziści przyszli w nocy, 13 kwietnia 1940 r. Z bagnetami na karabinach. Obudziłem się pierwszy. Zobaczyłem, że dom otoczono. Mimo to pobiegłem szybko po sąsiada. To on pomógł mi zaprzęgnąć konie do wozu. Wszyscy płakaliśmy. Mama źle się poczuła albo udawała, że jest jej bardzo słabo i cały czas leżała w łóżku, licząc na to, że enkawudziści zostawią nas w spo-koju. Ci jednak nie mieli litości. Okłamywano nas, że pojedziemy do ojca. Na spakowanie więcej niż 30 minut nam nie dali. Braliśmy, co wpadło w ręce. Do-brze, że wśród bagaży znalazła się pościel, bo było się potem czym okryć i chleb, który Mama upiekła kilka godzin wcześniej. Ruszyliśmy na stację kole-jową w Równem. Zostawiliśmy za sobą już na zawsze nasz dom i dorobek ży-cia naszych rodziców. Na stacji czekały na nas wagony. Ciasne, ciemne. Wmontowano tam 3 rzędy drewnianych prycz. Zabito i otoczono drutem kol-czastym okna, zaplombowano drzwi, ustawiono stanowiska ogniowe. Wagon mógł zmieścić około 50 ludzi,⁷ jednak wpakowano do środka 80 osób. Smród

na maksymalnie 5-letni pobyt w ZSRR, P. Żaroń, *Ludność polska w Związku radziec-kim w czasie II wojny światowej*, Warszawa 1990, s. 121.

⁴ Mimo wielu podobieństw niemieckie obozy koncentracyjne oraz tzw. łagry, ra-dzieckie obozy pracy przymusowej, nie powinny być ze sobą utożsamiane. Rozważania na ten temat przeprowadził m. in. A. Solżenicyn w swoim dziele *Archipelag Gulag*.

⁵ Najprawdopodobniej również ta informacja nie jest prawdziwa, bowiem racje żywnościowe dla łagierników oficjalnie ustalone zostały w innej wielkości. Jednakże podczas wcześniej prowadzonych badań autorka tekstu miała okazję stwierdzić, że rze-czywiste działania władz radzieckich niejednokrotnie znacznie odbiegały od litery pra-wa, w wyniku czego przyznawane łagiernikom porcje jedzenia miały różną wagę. Sze-rzej zob. A. Szymczak, *Życie codzienne w ZSRR w latach 1940-1946 na podstawie wspomnień sybiraków z powiatu gryfickiego*, Szczecin 2009 (praca magisterska)

⁶ Jest to bardzo ważna informacja, bowiem w większości relacji rzadko porusza-ne jest zagadnienie niezyczliwości przedstawicieli władz polskich wobec deportowa-nych, zwłaszcza tych pragnących wstąpić do tworzonego w ZSRR polskiego wojska pod dowództwem gen. W. Andersa.

⁷ Aleksander Gurjanow, z moskiewskiego „Memoriału” podaje, że przepisy obo-wiązujące NKWD przewidywały, że na wagon powinno przypadać od 25 do 30 depor-towanych. W istocie nie trzymano się tych wytycznych i wagony deportacyjne przepeł-nione były w znaczny sposób. co znajduje potwierdzenie w wielu relacjach.

niesamowity. Za toaletę służyć miał otwór w podłodze, niczym nieosłonięty. Ludzie krępowali się z niego korzystać, ale co było robić. Ogrzać miał nas małeńki piecyk umieszczony na środku wagonu.

Zamknięto drzwi. Na stacji czekaliśmy jeszcze trzy dni, bo ciągle dowozili ludzi. Nie dano nam w tym czasie jedzenia ani wody. Raz udało mi się przecisnąć przez jakąś szparę w oknie. Enkawudzista udał, że mnie nie spostrzegł. Pobiegłem po wodę, żeby nas trochę podratować. W końcu transport ruszył. Początkowo nie dostawaliśmy nic do jedzenia, a na większych stacjach mieliśmy prawo wyjść jedynie po kąpieli – gorącą wodę. W miarę jak oddalaliśmy się od Europy, zaczęto wydawać posiłki, np. zupę z kaszą. Na szczęście, nie pamiętam, żeby w naszym wagonie ktoś zmarł. Dowieziono nas do Pawłodaru w Kazachstanie. Było to 1 maja 1940 r. Stamtąd jechaliśmy 150 kilometrów ciężarówką na fermę w sowchozie pieszczkańskim, w rejonie maksymogorskim, gdzie potrzebowano taniej siły roboczej.

Wszyscy Polacy musieli tam pracować, nawet kilkuletnie dzieci, chociaż taki obowiązek oficjalnie ciążył tylko na dorosłych.⁸ Traktowano nas jak niewolników. Mama opiekowała się świniami, Marysia cielętami. Reszta z nas kilkakrotnie zmieniała zajęcie. Kradzieże w miejscu zatrudnienia były powszechne, ponieważ bez nich najpewniej byśmy nie przeżyli. Kradziono zatem wszystko: siano, mleko, otręby, paszę, jaja, okradano z warzyw i owoców pola sowchozowe, czasami prywatne ogródki. Za pracę płacono nam marnymi groszami, za które nic lub niewiele można było kupić, tylko taki dziwny chleb z dodatkiem piołunu. Pracownicy wyrabiający normę dostawali kilogram twardego, ciężkiego chleba,⁹ osoby niepracujące pozostające na ich utrzymaniu 200 gramów. Później jednak dawali nam już tylko mąkę.¹⁰ Nawet z okazji najważniejszych świąt nie mieliśmy dnia wolnego od pracy. Mimo to zawsze w święta zbieraliśmy się na wspólną modlitwę i śpiewy. Kolędownali z nami nawet Ukraińcy, tylko że w swoim języku. Mama wypiekała opłatek, cieniutki placek, a na Wielkanoc dekorowała jajka. Podczas świąt wszyscy płakali z tęsknoty za Polską. Mieszkaliśmy w ziemiankach, norach z ziemi, z darni i nawozu zwierzęcego. Do pierwszej naszej lepianki nie można było wejść, tak mocno była zapchlona. Później przenieśliśmy się do półziemianki, z takim jakby gankiem z trzciny, które dzieliliśmy z kilkoma innymi rodzinami. Wreszcie, gdy się spaliła, zamieszkaliśmy w drewnianym budynku. Meble? Tam nie było mebli! Spaliśmy w pościeli rozłożonej na klepisku albo na drewnianych pryzkach. Zwykła skrzynia była naszym stołem, szafą i krzesłem. Pomieszczenia oświetlaliśmy lu-

⁸ Oficjalnie pracować musieli wszyscy deportowani, którzy ukończyli 16 lat, jak już jednak zaznaczono wcześniej, przepisy prawa radzieckiego nie zawsze były stosowane <http://www.sciesielski.republika.pl/sov-dep/polacy/specprac.html> 20. 12. 2009.

⁹ Również i ta informacja może być błędna, bowiem tak duże ilości chleba nie przysługiwały nawet najlepiej opłacanym w ZSRR robotnikom-górnikom, którzy otrzymywali 700 g chleba, S. Ciesielski, *Polacy w Kazachstanie w latach 1940-1946*, Wrocław 1997, s. 126.

¹⁰ Najprawdopodobniej nastąpiło to po niemieckim ataku na ZSRR dokonanym 22 czerwca 1941 r., który znacznie pogorszył i tak już bardzo trudną sytuację życiową mieszkańców Związku Radzieckiego.

czywem albo lampką, zwaną kopcilką, butelką z tłuszczem, w który zanurzano szmatkę lub sznurek pełniący rolę knota.

Do szkoły, oddalonej o 5 kilometrów, w takim ubraniu, co żeśmy mieli, nie można było dojść. Zresztą, słyszeliśmy od innych, że dzieci są tam indoktrynowane. Zmuszano je, by prosiły Boga o cukierki. Gdy ich nie dostawały, miały o to samo prosić Stalina. Wtedy przez dziury w suficie zrzucano słodycze. Z Polski nie pozwolono nam zabrać żadnych książek, więc języka ojczystego Mama uczyła najmłodszą z moich sióstr za pomocą książeczeki do nabożeństwa oraz pieśni i opowiadań po polsku.

Cały czas głodowaliśmy. Podstawą przeżycia było ziarno, z którego robiło się mąkę i kaszę, a z nich placki lub zupę zacierkową. Staraliśmy się zbierać pozostawione na polach kłosa, ale tego zabraniano i to grożąc więzieniem lub egzekucją. Kłosa więc gniły, a ludzie umierali z głodu. Pewnego razu Mama i deportowany wraz z nami Ukrainiec zebrali od wywiezionych rzeczy na sprzedaż i pojechali do kolchozu, aby wymienić je na zboże. W drodze powrotnej złapała ich burza śniegowa. Wykończeni i zdesperowani zostawili sanie ze zbożem na drodze, a sami ruszyli za wyprzęgniętym z nich bykiem, który znalazł drogę do jakiegoś osiedla. Tam udzielono im gościny, mimo że, ze strachu przed kradzieżą, Mama nie podała prawdziwego powodu, dla którego ruszyła w tak niebezpieczną podróż. Dopiero na drugi dzień, przekonawszy się, że ma do czynienia z uczciwymi ludźmi, przyznała się, że ryzykowała życie dla zdobycia ziarna. Jej gospodarze byli urażeni jej wcześniejszymi podejrzeniami co do nich. Ta eskapada na szczęście skończyła się pomyślnie, ale nie zawsze wszyscy ruszający po jedzenie mieli tyle szczęścia, co Mama. Największy głód gnębił nas ostatniej zimy. Wojna dopiero się zakończyła, kraj był wyniszczony, nikt nie miał zapasów, nie było możliwości, by kupić cokolwiek. Mama kazała mnie i bratu szukać kłosów na stepie. I rzeczywiście, znaleźliśmy pod śniegiem coś, co wyglądało jak kurhan, a okazało się górą źle wymłóconego zboża. To znalezisko uratowało życie nam i mieszkańcom fermy, z którymi podzieliliśmy się ziarnem..

Drugim podstawowym produktem żywnościowym były ziemniaki. Z czasem kradzież ich przestała być konieczna, bowiem pozwolono na ich sadzenie. Kartofle piekliśmy, smażyliśmy, gotowaliśmy, zawsze ze skórką, żeby nie tracić choćby odrobiny jedzenia. Starty ziemniak służył do zagęszczania zup lub robienia placków. Jaja można było czasami wybrać z gniazd dzikich ptaków. Udało nam się też kupić dubeltówkę, więc ustrzeliliśmy czasem jakąś kaczkę. Za surówkę służyły rosnąca na stepie lebioda, szczaw, dzika cebula, czyli ług albo mlecz. Nie gardziliśmy też korzeniami tych roślin. Sól, przyprawa i środek konserwujący przy suszeniu ryb, zbierana była ze słonych jezior. Mieliśmy szczęście, że mieszkaliśmy nad Irtyszem i blisko jeziora, w którym łowiono ryby. Ja i mój rosyjski przyjaciel Wania pomagaliśmy rybakom, za co oni częstowali nas pieczonymi nad ogniskiem rybami przyprawionymi ziołami. Wkrótce Wania ukradł sieć i tak zaczęliśmy nasze samodzielne łowy. Wcześniej wędkowaliśmy sznurkiem uwiązany na kijku. Zimą w skutym lodem jeziorze robiło się przeręb, do którego spragnione powietrza ryby podpływały, a wtedy można było je chwycić w ręce lub zgarnąć czerpakiem. Latem było łatwiej o jedzenie, coś tam się wtedy podkradało z upraw.

Upały były straszne, sięgały 40 stopni. Zimą było 40 stopni mrozu. Opału praktycznie nie było. Do pieca dorzucaliśmy niedojedzone przez zwierzęta siano lub trzcinę. Najlepszym środkiem opałowym, występującym w małej ilości, był kiziak tj. wysuszone na słońcu odchody zwierząt. Burze śniegowe nieraz zasypywały ziemiankę. Wtedy musieli odkopywać nas sąsiedzi. Kiedy wychodziło się na takie zimno rano, wystarczyła chwila, aby nos, uszy i policzki robiły się zupełnie białe. Żeby nic sobie nie odmrozić, trzeba było szybko natrzeć twarz śniegiem. Zimą nie chodziłem, ale biegłem, żeby nie zamrznąć. Jeśli ktoś nie został w czasie buranu w ziemiance, to gubił drogę do domu. Jego zwłoki znajdowano później w stepie albo tuż przy domu, który podczas zamieci był po prostu niewidoczny. O szczęściu może mówić mój znajomy, którego udało się w porę odnaleźć po takim buraniu. Niestety, musieli mu obciąć obie ręce.

Wyglądaliśmy jak łachmaniarze. Pracującym przydzielano jakieś kufajki, ale w zasadzie tylko donaszaliśmy przez te 6 lat zsyłki ubrania z Polski, z których szybko wyrastaliśmy i które niszczyły się podczas ciężkiej pracy. Mama własnoręcznie przerabiała znoszone płaszcze na sukienki lub koszule albo szyła nam ubrania z czego tylko się dało. Jeżeli ktoś pracował przy strzyżeniu owiec, starał się ukraść trochę wełny. W domu przędło się ją ręcznie, a następnie robiło się z niej na drutach swetry, chusty, pończochy, skarpetki. Trochę podratowały nas paczki z UNRR-y¹¹ i od ojca, które wysyłał, gdy dostał się po wojnie do Anglii. Na nogach nosiliśmy łapcie z kawałków skóry, takie trochę jakby skarpety wiązane wokół nogi sznurkiem, do których wpychało się czasem siano i czekało, aż polany wodą but zamrznie, aby się nie rozsypał. O walonkach tj. obuwiu z wełny, jedynym, jakie nadawało się na tamtejsze mrozy, mogliśmy sobie pomarzyć. Kiedy wróciliśmy do Polski, wszystkie swoje ubrania i rzeczy spaliliśmy, tak były zawszone. Brakowało nam wody i wszystkiego, co normalnie jest potrzebne do utrzymania higieny osobistej i porządku. Z łaźni, z tzw. bani, mogliśmy korzystać co tydzień. Później ją zamknięto. Latem kąpaliśmy się w jeziorze lub w rzece, zimą myliśmy się w misce. Wodę pitną powinniśmy byli czerpać ze studni i tak też niektórzy robili. Szybko jednak okazało się, że była ona skażona gnojowicą, a ludzie zaczęli chorować. Wodę przynosić musieliśmy zatem z jeziora, gdzie była czysta, ale cuchnęła rybą. Stary Kazach, aby uchronić nas przed zawszeniem, golił nam głowy. Do prania dodawało się ług, czyli przegotowany popiół albo kłacz tataraku. Ubrania najczęściej jednak po prostu gotowano we wrzącej wodzie. Potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy w polu, a zimą za domem, gdyż tam było bliżej.

Strasznie chorowaliśmy na odmrożenia, wszawicę, choroby układu pokarmowego, krzywicę, szkorbut, kurzą ślepotę, zapalenie płuc, czerwonkę. Najstraszniejsze były tyfus i malaria. Wiele osób zmarło właśnie na nie, wśród ofiar było szczególnie dużo deportowanych przez Rosjan Niemców Nadwołżańskich, Czechenów, Inguszów. W szpitalu pracowała lekarka, Polka, dzielna i

¹¹ Pomoc udzielana zesłańcom przez rząd polski od 1941 r. często jest błędnie identyfikowana przez nich ze wsparciem udzielonym im przez UNRR-ę (Organizację Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy - United Nations Relief and Rehabilitation Administration, stworzoną dopiero w 1943 r.), podczas gdy pochodziła ona z innych źródeł, P. Żaroń, op. cit., s. 203.

dobra kobieta, która starała się ratować wszystkich pacjentów, bez względu na ich narodowość. Praktycznie jednak nie miała ona nas czym leczyć, zresztą, nawet chinina przestała pomagać. Ostatnią deską ratunku dla mnie, gdy zachorowałem na tyfus, były zalecane przez panią doktor wywary z piołunu. Na bóle stawów pomagało natomiast siedzenie w oparach z nagrzanego kamienia czy kawałka żelastwa polanego wodą, również przez nią zalecane. Niestety, podczas swojej pracy zaraziła się ona od jednego z pacjentów tyfusem i zmarła. Jednak nie wszyscy spotkani w ZSRR lekarze byli dla swoich podopiecznych tak dobrzy. Kiedy Zygmunt zachorował na zapalenie płuc, został przewieziony do szpitala. Tam, jak leżał na korytarzu, znalazła go Marysia. Powiedziała jej, że kazano mu wracać do domu, jednak naszej siostrze wystarczył jeden rzut oka, by zorientować się, iż Zygmunt nie może opuścić szpitala, bo już pluł krwią i miał całkiem sine paznokcie. Tylko dzięki jej interwencji pozostawiono go na oddziale, co uratowało mu życie. Traktowano nas jak śmiecie! Mogło się zginąć i nikogo to nie obchodziło. Zresztą, byliśmy tam, by zginąć. Zdychał człowiek na oczach Europy! Wielu zmarło z głodu, ze zmęczenia, z zimna. Jedna nasza znajoma była tak słaba, że tylko leżała w łóżku razem ze swoim 12-letnim synkiem. Któregoś dnia chłopiec po prostu już się nie obudził, a matka dokładnie nawet nie wiedziała, kiedy umarł. Wkrótce zmarła i ona. Pewnej Polki nie miał kto pochować, więc nasza Mama zarządziła, że zrobią to Zygmunt i Marysia. Zwłoki ubrano w cienutki płaszczek przewiązany sznurkiem, bo zmarła już nic innego nie posiadała. Zygmunt pochował ją bez trumny, w płytkim grobie, który pewnie rozkopały wilki. Tak kończyli życie najślabsi: dzieci, starcy i osoby niezaradne, żony oficerów nieprzyzwyczajone do ciężkiej pracy albo takie, które nie znalazły dla siebie żadnego zajęcia, a jedynie wymieniały przywiezione z Polski rzeczy na jedzenie. Te szybko się kończyły i przychodziła śmierć głodowa.

Przez krótki czas, po podpisaniu układu Sikorski-Majski, władze radzieckie traktowały nas łagodniej, nie jak wrogów. Mama została mężem zaufania na naszej fermie. Do jej obowiązków należało rozdzielanie między deportowanych paczek z UNRR-y. Z zadania wywiązywała się uczciwie, uwzględniając także Ukraińców, których wywieziono z nami, mimo że sowieci nakazali, by nie traktować ich już jak obywateli polskich. Po zerwaniu stosunków dyplomatycznych między rządem Polski a rządem ZSRR Polacy byli przymuszani do przyjęcia radzieckiego obywatelstwa. Jeden ze środków przymusu to zamykanie w więzieniu.

Mimo tego wiele zawdzięczamy pomocy zwykłych obywateli ZSRR. To oni nauczyli nas, jak postępować, by nie umrzeć z głodu, przymykali oko na nasze kradzieże. Mówili, by żyć, jak tylko się da, by robić, co tylko się da i współpracować, z kim tylko się da. Kiedyś zobaczyłem na ziemiance suszące się kurty-serki wielkości pięści robione przez Kazachów. Byłem bardzo głodny, więc siadłem na dachu i się nimi zajadałem. Gdy zeskakiwałem na ziemię, z lepianki wyszła Kazaszka. Spostrzegła, co zrobiłem, ale nie nakrzyczyła na mnie, tylko się uśmiechnęła. Między nami a Rosjanami i Kazachami nie było żadnych poważnych konfliktów. Liczyło się tylko to, jaki był człowiek, a nie jego narodowość. To byli dobrzy ludzie, jedynie system, w jakim żyli, był zły. Gdy spalił się nasz dom, pod swój dach przyjęła nas Rosjanka, mimo że nasza rodzina liczyła aż siedem osób, ona zaś dysponowała tylko jednym pokojem, w którym

mieszkała z trzema córkami. Kiedy do Marysi zalecał się pewien Czeceń, którego bardzo się bała, jej brygadzysta wezwał chłopaka do siebie, kazał mu zostać ją w spokoju, wreszcie przeniósł go na inną fermę.

Z kolei nasza Mama po przygotowaniu jakiegoś skromnego posiłku z okazji świąt częstowała nim wszystkie dzieci, jakie tylko przybiegały pod nasz dom. Zawsze zresztą powtarzała, że innym trzeba pomagać i pomimo swojej biedy dzielić się tym, co się posiada. Wszyscy przyjaźniliśmy się z rosyjskimi dziećmi, zawsze udało nam się wymyślić jakąś wspólną zabawę. Danusia często udawała nauczycielkę, a swoich „uczniów” przymuszała do posłuszeństwa siłą, ponieważ chciała być szefem dziecięcej bandy. Nikt jednak z jej przyjaciół nie miał jej tego za złe. Nasz kierownik sowchozu uratował mi nawet życie, kiedy podczas wieczornego powrotu do domu omal nie rozszarpałyby mnie wilki, chwycił mnie za kołnierz, wrzucił na swoje sanki i szybko odjechał, przy tej okazji wyzywając mnie ze zdenerwowani i przejęcia od durniów.

Z wilkami miałem nieprzyjemność spotkać się jeszcze kilka razy. Kiedyś nawet jeden wszedł do ziemianki, więc omyłkowo wziąłem go za psa. Wilki atakują całą watahą, a ten był sam, więc wybrał ucieczkę. Innym razem moje siostry w ostatniej chwili schowały się w domu przed goniącą je sforą. Za sobą usłyszały tylko, jak rozpędzone wilki z impetem rozbijały się o drzwi. Od czasu do czasu słyszałem, że ktoś został przez nie rozszarpany.

Cały nasz wysiłek włożony został w codzienną walkę o przetrwanie, a całą naszą siłą była nadzieja na powrót do Polski. W drogę powrotną ruszyliśmy w maju 1946 r. Rosjanie pożegnali nas bardzo serdecznie. Gdy wchodziliśmy na statek parowy, zgromadzeni na przystani, nie patrząc na enkawudzistów, krzyтели: „*Powiedzcie ludziom, jak my tu żyjemy!*”. Większą część drogi powrotnej przebyliśmy tak samo, jak podczas deportacji w bydlęcych wagonach, tym razem jednak nie zaplombowanych. W jednym z nich przemycono, po przekupieniu enkawudzisty konserwą wieprzową, dziewczynkę, która nie posiadała żadnego dowodu na to, że była Polką i że miała prawo do repatriacji. Wróciliśmy w końcu zatem do Polski, do kraju zupełnie innego od tego, który znaliśmy wcześniej, ale do kraju będącego wytęsknioną ojczyzną. Spełnienie tego największego marzenia stało się możliwe tylko dzięki naszej mamie, każdego dnia tak dzielnie walczącej o nasze życie, które, nam, dzieciom, wrogom Związku Radzieckiego, chciano odebrać w okrutny sposób.

*

Stanisława Siomkajło (siostra M. Alicja) – *Wspomnienia wojenne. Rozruceni po świecie*

Pierwszy wrzesień 1939 r. Niemcy napadli na Polskę – wojna. 17 września Rosjanie wkroczyli do Polski witani radośnie przez Ukraińców. Początkowe złudzenie, że nas obronią przed Niemcami, rozwiało się szybko, weszli by zając część ziem polskich. Rodzina Jana i Michaliny Siomkajło z ośmiorgiem dzieci mieszkała w posiadłości Sielec, oddalonej 15 km od Stanisławowa i 2 km od Jezupola. Bomby padały niedaleko na stację kolejową, również niemieckie

samoloty latały nisko, strzelając dokoła, raniąc ludzi i bydło. Młodszy syn Tadeusz, 22 lata i siostra Eugenia, 25 lat uciekli z wojskiem polskim na Węgry. Reszta rodziny została w niepewności jutra. Ukraińcy zaczęli napadać na polskie rodziny, rabując i mordując.

Deportacja

Przyszedł niezapomniany dzień 10 lutego 1940 r. W nocy, o 2³⁰, gdy wszyscy jeszcze spali, zajechali przed nasz dom Rosjanie z Ukraińcami, w dwie pary sań i kazali być gotowymi za godzinę do wyjazdu. Wkładaliśmy na siebie po kilka ubrań, trochę żywności. Trzeba było wszystko zostawić dom, gospodarstwo, zwierzęta. Zima tego roku była ostra i śnieżna. Takie to było dziwne..., ilu nas było, nikt ani słowa nie powiedział, nikt nie zapłakał i mogło wyglądać, że jedziemy na wycieczkę. Ludność okoliczna powychodziła na ulicę patrząc ze zdziwieniem, że jedziemy wesoło, bez żadnych narzekań. Myśleli, że zobaczą nas zapłakanych, a tymczasem...! Nie chcieliśmy pokazać Ukraińcom, że jesteśmy przygnębieni.

Na stacji w Jezupolu załadowano nas do dużego wagonu towarowego, jak śledzie w beczce, tak, że przejść nie było można. W wagonie były dwa otwory w rogach, jeden na wychodzenie za potrzebą, drugi miał służyć za kuchenkę do gotowania. Ale co tu gotować? Zwłaszcza, że wody nie było. Pociąg towarowy stał na stacji przez całą niedzielę, w poniedziałek ruszył. Tatuś powiedział: „Wywożą nas na Sybir”. Wszyscy zaczęli płakać i modlić się.

Ta okropna jazda trwała 20 dni. Kilka razy dano nam we wiadrze coś w rodzaju zupy z kapusty, można było policzyć liście i kawałeczek czarnego chleba. Było strasznie zimno, dzieci i niemowlęta płakały, matki płakały razem z nimi. Zapasy żywności wyczerpały się, zostało trochę kartofli, które zamarzyły w wagonie. Najstarsza siostra Aniela kroїła je w plasterki i piekła na piecyku. Były one słodkie, jak to zmarzłe kartofle, jedliśmy je i dzieliliśmy się z innymi.

Kazachstan

W Czelabińsku rozdzielono transport. Nasze wszystkie bagaże przepadły, pojechały w inną stronę a my zostaliśmy tylko z tym, co mieliśmy na sobie. Pociąg zatrzymywał się na różnych stacyjkach, wysiedleńców stopniowo skierowywano do kolchozów. Nam dostało się „lepsze” miejsce w mieście, w kopalni złota. Nikt nas tu nie pilnował, jak to bywało gdzie indziej. Było to miasto Dżetygara w Kustanajskiej Obłasti (Kazachstan). Dookoła miasta była prawie pustynia, gdzieniegdzie trochę trawy i dzika pora.

Na dziewięć osób dostaliśmy jedną izbę i parę tapczanów ze słomą. Tatuś i mamusia byli uważani, że są za starzy by pracować. Brat Józef z żoną Michaliną, siostry: Aniela, Joanna i Julia, która miała zaledwie 17 lat, musiały pracować w głębi kopalni. Amalia, jako chorowita, nie pracowała a najmłodsza Stanisława (12 lat) miała chodzić do szkoły.

Każdy z pracujących miał wpisane w książeczce po dwie osoby nie pracujące. Na podstawie takiej książeczki dostawało się pół funta chleba na osobę, a zdarzało się, że zanim doszło się w kolejce do sklepu to już nic nie było. Praca w

kopalni była bardzo ciężka. Przerzucanie łopatą ciężkich kamieni był to trud ponad siły. Po prostu kamień nie chciał iść na łopatę. Jednego dnia Aniela pokłóciła się z dozorcą, że tak mało płaci za robotę, chociaż starają się pracować sumiennie, może lepiej niż mężczyźni. Od tego czasu zaliczono tę grupę niewiast do „stachanowców”, ponieważ wyrabiały 100% normy. Otrzymały zapłatę „stachanowców” i tyleż premii. Aniela miała teraz więcej pieniędzy, mogła kupić materiał i poszyć trochę odzieży, kupiła też watę i materiał na kołdry. Był kłopot z opałem. Czasem przynosiły z kopalni parę kawałków drzewa, które służyły do robienia stempli w kopalni. Stasia chodziła po stepie szukając „kiziaki”, to znaczy suche wydzieliny zwierzęce, którymi paliło się w piecu, dodając trochę suchej słomy – tak robili Kazacy. W ten sposób można było coś ugotować.

W kopalniach były nieraz takie miejsca, gdzie trzeba było pracować na leżąco, wybierać przez godziny kamienie i przerzucać je z miejsca na miejsce. Praca była na 3 zmiany. Co dwa tygodnie wypadało pracować w nocy, co było bardzo uciążliwe, bo trudno było przestawić się na spanie w dzień. Świąt nie było, był tylko „wychodny” co 6 dni, gdy dzień wolny wypadł w niedzielę byliśmy zadowoleni, ale to często się nie zdarzało. Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i inne święta, pracowało się jak co dzień, jeśli nie wypadł „wychodny”. Najwięcej nacierpieliśmy się w zimie z powodu wielkich mrozów, 40 stopni poniżej zera. W drodze do pracy nie można było iść normalnie, tylko biegiem, bo groziło zamrożenie. W lecie, przy wychodzeniu z kopalni, byliśmy zagrożeni utratą wzroku z powodu oślepiającego blasku słońca i wielkich upałów. Trzeba było przymykać oczy, by je chronić przed rażącymi promieniami.

W pracy naszej byliśmy stale narażone na utratę dziewictwa. Umyślnie rozdzielano nas pojedynczo i namawiano do złego. Łaska Boża strzegła nas w tym niebezpieczeństwie. Aniela najbardziej lękała się o najmłodszą siostrę Stasię, gdyż była pozostawiona samej sobie. Rodzice pozostawali w domu, a ona musiała stać w kolejce za chlebem. Zdarzyło się, że pewna Rosjanka zaproponowała Stasi pracę w swym domu w charakterze opiekunki do dzieci. Aniela ucieszyła się z tej propozycji w nadziei, że przynajmniej nie będzie cierpieć głodu. Lecz wkrótce potem żałowała, że się na to zgodziła, myśląc że naraziła Stasię na wielkie niebezpieczeństwo. Na szczęście Rosjanka nie było zadowolona z jej pracy i odprawiła do domu. Wieczorem musiałyśmy ryglować drzwi, bo się do nas dobijano. Na każdym kroku groziło nam niebezpieczeństwo, ale Pan nas obronił.

W tym czasie zachorowała nasza mamusia na tyfus. Chcieliśmy oddać ją do szpitala, ale nie chciała się na to zgodzić. Lekarstw nie było żadnych, nie było również nic do jedzenia. Stan mamy pogarszał się. Spałyśmy razem na jednej pryczy. Do pracy musieliśmy chodzić, nikt nie mógł zająć się chorą. Dnia 26 marca 1941 r. Aniela dała mamie trochę chleba z mlekiem, zjadła ten posiłek, choć od kilku dni nic do ust nie wzięła. Wybieraliśmy się do pracy, wtem Mama wstała, podeszła do Anieli mówiąc: „zawieź mnie do szpitala”. Widzieliśmy na jej twarzy cień śmierci, więc poprosiliśmy by się położyła, tłumacząc, że nie miałyby siły do tej jazdy. Położyła się i pytała czy nie mamy wiadomości od Tadeusza i Gieni. Stasia zaczęła głośno płakać. Tatuś uspokajał ją mówiąc, że to przeszkadza mamusi umrzeć. Mama poprosiła Anielę, by położyła jej rękę

na sercu i trochę potarła, w tej chwili serce przestało bić. Została pochowana na cmentarzu miejscowym, pomodliliśmy się nad grobem; w tym mieście nie było żadnego kapłana. Tatuś nie był na pogrzebie, był za słaby.

Amnestia

W tych kamieniołomach byliśmy rok i parę miesięcy. Nastąpiła amnestia (dzięki generałowi Sikorskiemu) można było jechać, gdzie kto chciał. Ludzie naradzali się dokąd jechać? Mówiono, że będą razem wyjeżdżać z Syberii, tymczasem okazało się, że wyjeżdżają grupami, cichaczem. Obawialiśmy się, że zostaniemy tu sami, ale czy tatuś przetrzyma taką podróż? Po naradzeniu się z tatusiem postanowiliśmy jednak udać się w tą nieznaną drogę. Spakowaliśmy rzeczy i pojechaliśmy na stację Briebys koło Czelabińska, na granicy z Kazachstanem. Była tam masa narodu różnego kalibru a najczęściej Żydów. Nikt nie wiedział dokąd jechać. Co jakiś pociąg nadjechał, wszyscy tłoczyli się do niego i nie dopuszczali do wejścia. Udało nam się kupić kilka ładnych bochenków chleba. Nadjechał pociąg, do którego pozwolono nam wejść. Weszliśmy i szukaliśmy naszego chleba, nigdzie nie ma! Ktoś się nim uraczył, chwycił, gdy wrzucaliśmy do wagonu nasze pakunki. Gdzie go szukać? Każdy był głodny, więc cieszył się taką zdobyczą, a nam do głowy nie przyszło, że ktoś nam zabierze chleb. Jechaliśmy tak blisko 3 miesiące prawie bez jedzenia. Raz udało nam się kupić kawałeczek chleba i kawałek pieczonego kurczęcia i to Aniela dawała tatusiowi. My chrupaliśmy po trochę suchy groch. Jechało się na ślepo, nikt nie wiedział dokąd jedzie. Trudno powiedzieć, ile razy wyrzucano nas z pociągu, wtedy mieszkaliśmy pod gołym niebem, czekając co dalej będzie. Przydały nam się wtedy kołdry poszyte na Syberii. Służyły jako przykrycie, zwłaszcza gdy padał deszcz lub śnieg.

Wreszcie znów kazano nam pakować się do jakiegoś pociągu i dalej ta sama historia. Czasem pociąg stawał na jakiejś stacji, więc ludzie po upewnieniu się, że postój potrwa kilka godzin, wychodzili na zakup żywności, a tu pociąg ruszał i rodziny rozbijały się. Widząc to, uważaliśmy bardzo, by się nie rozdzielać. Jechało się tak bez zmiany bielizny, ubrania, bo nie było gdzie i jak prać. W wagonach były półki do spania, na których spali Żydzi, a my siedzieliśmy po kątach, jak i gdzie się dało. Z górnych półek sypały się wszy jak groch. Całe towarzystwo było zawszone do ostateczności; było to jedno „mrowisko” wszy.

Na pewnej stacji pociąg stał kilka dni, a do jedzenia nic nie było. Ludzie rozeszli się po polach, gdzie były stosy makuchów, rosła tam bowiem wata. Z nasienia wytłaczano olej, a łuski z ziaren zbijano w kształcie cegły, które dawano bydłu. Zgłodniałi ludzie usiłowali jeść te makuchy, poszliśmy więc i my pozbiierać trochę. Gdy mieliśmy już zebrany pewien zapas, poszliśmy do wagonu a Aniela jeszcze została. Zaledwie odeszliśmy przychwycono Anielę na tej „kradzieży” i zaprowadzono do jakiegoś budynku, w którym było sporo żołnierzy ładujących karabiny. Aniela myślała, że ją zabiją a my z tatusiem pojedziemy dalej i nawet nie będziemy wiedzieli, co się z nią stało. Pytają ją dlaczego zbierała makuch. Udając, że go je, zaczęła robić im wyrzuty, że trzymają nas tak długo w polu i bez jedzenia, więc cóż mamy robić? Po długim śledztwie wypuszczono ją.

Z radością biegła do wagonu, zdążyła na czas. Część naszego transportu, w tym większość Polaków, przeznaczono do kolchozu poza rzeką Amu-Darią.

Okropna rzeka Amu-Daria

Wieziono nas barkami do transportu zwierząt, zatłoczonymi po brzegi. Padał deszcz, był mróz, ślisko. Ludzie jak muchy wpadali do rzeki, czasem ktoś się ześlizgnął ale nikt go nie szukał. Umierali masowo, trupy wrzucano do rzeki. Czasem zatrzymywano się przy brzegu i do jakiejś jamy przybrzeżnej pakowano trupy, takie były pogrzeby. Jechało się tym statkiem dwa tygodnie i znów bez jedzenia. Gdy dzisiaj to wspominamy, wierzyć się nie chce, że tak było i że człowiek to przetrzymał.

Wyładowano nas w kolchozie Marks, gdzie mieliśmy być zatrudnieni przy zbieraniu waty. Umieszczono nas w ciasnych komórkach, podobnych raczej do psiej budy niż do izby mieszkalnej. Raz czy dwa dano nam małe lepieszki, pieczone na górnej części pieca. Piece były okrągłe, mocno rozgrzane, na górną ich powierzchnię rzucano trochę ciasta, które po upieczeniu samo spadało. Korzystając z tygodniowej przerwy w podróży, popraliśmy naszą bieliznę i odzież. Mogliśmy nareszcie pozbyć się insektów.

Jednego dnia Aniela wybrała się w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, idąc przez długi most spotkała polskiego żołnierza, który zapytał o cel jej wędrówki i powiedział, by natychmiast wracała i pakowała rzeczy, gdyż oni zbierają Polaków. I znów jechało się przez tę straszną rzekę przez dwa tygodnie bez jedzenia. Była mała kuchenka, na której można było gotować, jeśli ktoś miał coś do gotowania. Narodu była masa, wiele rodzin z dziećmi i one miały pierwszeństwo. Raz tylko udało się Anieli spuścić na sznurku garnek i nabrać trochę wody, w której ugotowała trochę mąki. Zrobiła się taka „mazia”, lecz to był dla nas specjał. Zjedliśmy po trochę tej niby zupy i dalej nic... Niektórzy ludzie byli trochę lepiej zaopatrzeni. Mieli w torbach jakieś suchary, nie wiadomo skąd. Kilka razy udało się Anieli wyjąć parę sucharków komuś z torby i podzielić z rodziną. Gdy się chciało dostać trochę wody, trzeba było spuszczać wiadro na sznurku i nabrać tej brudnej wody. Gdy się wiadro wyciągnęło, trzeba było wodę wylewać, tyle w niej było odchodów ludzkich. Próbowano się raz, drugi i trzeci, aż się wyciągnęło trochę niby czystszej wody i to się piło. Dobrze jeszcze, gdy się dało ugotować wodę, ale trudno było docisnąć się do kuchenki. Nic więc dziwnego, że później wszyscy pochorowali się na tyfus. W drodze powrotnej znów nabawiliśmy się wszy od towarzyszy podróży.

Uzbekistan

Po zejściu z tych barek zostaliśmy rozrzućeni po kolchozach w terenie, tak, że jedni o drugich nic nie wiedzieli. Wieziono nas na wielbłądach, wysadzono już późnym wieczorem pod jakimś domem uzbeckim i tak spędziliśmy noc, a deszcz padał. Rano przydzielono nam jakąś izbę, w której nic nie było, tylko gołe ściany. Na środku była dziura, w której tubylcy palili i w ten sposób ogrzewali domki, lecz mieli całe dachy, nasz dach był dziurawy. Nasze kołdry i materace znów się przydały. Ułożyliśmy je na ziemi i tak jedno przy drugim leżeliśmy. Było to w grudniu, padał deszcz ze śniegiem. Jako pożywienie dawano nam mieszaninę róż-

nego gatunku zboża razem z prosem. Wiozło się do młyna, z mąki gotowało się zupę lub piekło placki bez tłuszczu, bez soli, bez cukru.

W kołchozie Kizykuszim (koło Kitabu), w którym nas zatrzymano, mieliśmy być zatrudnieni przy zbieraniu waty, jednak zaraz po przybyciu Julia zachorowała na tyfus, a po niej tatuś i siostra Amalia. Julia po miesiącu wyzdrowiała, choć nie było lekarstw ani dobrego odżywiania. Tatuś i Amalia dalej chorowali. Serce nam się krajało, że nie mieliśmy co dać jeść tatusiowi. On raz powiedział do Anieli: „Czy nie mogłabyś jakiegoś psa zabić i dać trochę do zjedzenia?” Udało się Anieli kupić trochę koniny, zgotowała rosół i dawała tatusiowi po łyżeczce. Stan jego stale się pogarszał, charczało mu w płucach i bardzo cierpiał. Aniela prawie całą ostatnią noc przesiedziała przy tatusiu. Rano Aniela była sama, inne siostry były zajęte zbieraniem waty. Poszła po brata Józefa, który mieszkał z żoną w izbie obok. Dała jeszcze trochę rosółu tatusiowi, ale w tej chwili umarł 13 stycznia 1942 r. Józef ubrał tatusia w jego ładne ubranie. Miejscowi ludzie oburzali się, że takie ubranie dajemy do grobu. Daliśmy mu co miał najlepsze. Uzbegy mają zwyczaj chowania zmarłych bez trumny. Nie mogliśmy się na to zgodzić. Wreszcie znalazł się jakiś Żyd, też wywieziony z Ukrainy, który wytłumaczył im nasze zwyczaje, zbił z desek trumnę, potem wykopał grób, jeśli to można nazwać grobem, parę kroków od naszej „budy”, na małej łączce wygrzebał dziurę i tam tatuś został pochowany. Zrobiliśmy krzyż z patyków i chodziliśmy się tam modlić, dopóki jeszcze trzymaliśmy się na nogach. Za parę dni zachorowałyśmy wszystkie, na nogach była tylko Julia, która już wyzdrowiała po tyfusie, brat Józef i jego żona Michalina.

Uzbegy przychodzili do nas, bo przecież miałyśmy pracować przy wacie, a widząc naszą sytuację, siadali wokół nas w kucki, mówiąc: „hamusyn kasał, hamusyn kasał”, co znaczyło: wszystkie chore. Leżałyśmy wszystkie na ziemi, Aniela zaczęła na nich krzyczeć: „dajcie nam łóżka, dajcie piecyk, jak tu mamy żyć?” I rzeczywiście dostałyśmy dwie prycze i piecyk. Miejscowi ludzie jakoś i bez tego obchodzili się, palili na środku chałupiny, w której mieszkali i tam też gotowali. Nad pryczami rozciągnęłyśmy koce w formie dachu, gdy padał deszcz. Chroniłyśmy się na pryczach, gdyż na ziemi płynął potok. Na jednej pryczy było nas trzy a na drugiej dwie, to jest najmłodsza Stasia i Amalia, która niedługo po tatusiu umarła. Aniela chociaż chora nie mogła się położyć, tylko siedziała na pryczy, bo Julia, jedyna, która trzymała się na nogach, płakała, gdy tylko Aniela położyła się. Julia mówiła: „Ty umrzesz a z kim my zostaniemy i co same zrobimy?” Aniela musiała udawać zdrową. Brat i siostry zdawały sobie sprawę, że zbliża się koniec życia Amalii, która zachorowała jednocześnie z ojcem. Nie mogliśmy jej w niczym pomóc. Leżała Amalia na pryczy razem ze Stasią, która mając wysoką gorączkę o Bożym świecie nie wiedziała. Wstawała od czasu do czasu, by po błotnistej podłodze dowieść się do wiadra i zaczerpnąć dzbanuszką trochę zimnej wody. Nie piła jej nawet, ale chciała ją mieć przy sobie. Aniela też cierpiała z pragnienia, ale miała na tyle przytomności, że jej nie piła. Wodę braliśmy z rowu, który był niedaleko, ale jak woda powstała, to pół wiadra było samego błota. Trzeba było wodę gotować, ale i tak nie była zdrowa do picia. Jednej nocy, gdyśmy z trudem pozasypiały, bo niełatwo jest zasnąć przy wysokiej gorączce, nasza siostra Amalia umarła, było to 15 lutego 1942 r. Aniela z wysiłkiem zwle-

kła się z pryczy, by ubrać naszą biedną Amalię. Zapytała się Stasi, czy da Amalii swoją ładną sukienkę, którą bardzo lubiła. Wyraziła swą zgodę, ale okazało się, że wcale tego nie pamiętała i później, po wyzdrowieniu, szukała swojej sukienki, nie wiedząc, gdzie się podziała. Zrobiliśmy katafalk z chrustu i patyków, położyliśmy na nim Amalię, która leżała tak kilka dni, aż znów ten sam Żyd wykopał dół obok grobu tatusia i tam ją pochował. Żadna z nas nie mogła wziąć udziału w tym pogrzebie, choć odległość wynosiła zaledwie kilka kroków, był tylko brat Józef z żoną. Oni jakoś przetrwali, a właściwie przetrwała tylko bratowa Michalina, bo brat umarł w Teheranie w Persji.

Gdy jako tako przyszliliśmy do zdrowia, zostało nas tylko cztery: Aniela, Joanna, Julia i Stanisława oraz brat Józef z żoną. Chodziliśmy do pobliskiego miasteczka Kitab przez rzekę, by na targowisku sprzedać resztki naszego dobytku, za co można było kupić trochę cebuli i kobyłego mleka, które było tak kwaśne, że wykrzywiało twarz przy picciu. To wszystko pomogło nam do odzyskania nieco sił po tym strasznym tyfusie. Dowiedzieliśmy się tam od ludzi, że gdzieś zbierają się grupy na wyjazd z Rosji, ale nie wiedzieliśmy, gdzie są te punkty dla sybiraków. Aniela wybrała się jednej niedzieli z bratem Józefem i jego żoną, by się czegoś pewniejszego dowiedzieć, Deszcz tego dnia padał bez przerwy. Rano udało się przejść w bród przez rzekę do wskazanego przez ludzi miejsca. Po całodziennym deszczu rzeka tak wezbrała, że nie można było przebrnąć przez nią. Szliśmy za jednym Uzbekiem, który znał dogodne przejście, ale w pewnym miejscu napotkaliśmy okropny wir. Uzbek zawrócił i nam kazał zrobić to samo. Szliśmy w ubraniu i butach, bo i tak wszystko na nas było przemoknięte. Szliśmy wszyscy troje, trzymając się pod ręce i w pewnym momencie brat Józef upadł do wody i woda zaczęła wszystkich unosić. Aniela krzyknęła: „Jezus Maryja, idziemy z wodą”. I o dziwo, Aniela podniosła brata i wrócili do tego samego brzegu. Okazało się, że trzeba iść około 2 km w przeciwnym kierunku od naszego mieszkania by znaleźć bród, gdzie na koniu przewożono ludzi przez rzekę. Zimno było niesamowicie i to nie dawno po chorobie, ale jakoś nic złego nam się nie stało po tej kąpieli i przejściu 6. km w mokrym ubraniu.

Droga do wolności

Gdy dowiedzieliśmy się, gdzie ludzie zbierają się do wyjazdu z Rosji, poprosiliśmy naszych Uzbeków by nas odwieźli do danej miejscowości. Dali nam rzeczywiście wóz o dwóch kołach, bo innych tam nie ma, zaprzęgniętych w dwa woły. Gdy już władowaliśmy wszystkie nasze rzeczy, Uzbekcy zwrócili się do nas w tych słowach: „Nigdzie nie pojedziecie. Myśmy was karmili a wy nie pracowaliście”. Karmili nas co prawda takim zbożem, że bydłu daje się lepsze, ale co począć? Zaczęliśmy zrzucać z wozu co się dało, uzbieraliśmy cały stos tych rzeczy, dodaliśmy jeszcze skrzypce tatusia. Powiedzieli, że dosyć. Zgodzili się nas podwieźć, więc ruszyliśmy w drogę. Na środku rzeki woły odprzęgły się i poszły sobie a my zostaliśmy na wozie. Wszyscy jakoś przeszli przez wodę i dotarli do brzegu. Aniela była za słaba, więc jakiś mężczyzna ją przeniósł. Uzbekcy połapali woły, zaprzęgli je i dowieźli rzeczy do brzegu. Gdyśmy dotarli do punktu zbiorczego dla uchodźców polskich w Krasnowodzku, odpadło już wiele trosk. Otrzymaliśmy jedzenie, ubranie i nawet trochę pieniędzy i już było

bardziej „po ludzku”. Do Persji, do Pahlevi jechaliśmy okrętem przez Morze Kaspijskie. Była burza na morzu, wszyscy byli chorzy.

W kwietniu 1942 r. wysiedliśmy z olbrzymiego statku ledwo żywi. Na początku była kwarantanna, trzeba było przejść przez dezynfekcję, wykapać się i przebrać się w czyste ubrania z darów amerykańskich. Wierzyć się nie chciało, że jesteśmy już na wolności. Niektórzy całowali tę wolną ziemię. Na brzegu czekały już na nas namioty. W Pahlevi byliśmy krótko, pojechaliśmy kilkoma transportami do Teheranu. Podróż była okropna. Góry wysokie a drogi wąskie. Ciężarówki pędziły z wielką szybkością. Były wypełnione po brzegi tobołami, na których trzeba było siedzieć, trzymając się „powietrza”. Kierowcy byli przeważnie pijani i pędzili prawie na ślepo, bo sami się bali, więc pili dla dodania sobie odwagi. Drogi były tak wąskie i strome, że w głowie się mąciło patrząc w dół.

W Teheranie mieszkaliśmy pod namiotami. Brat Józef chorował całą drogę i zaraz po przyjeździe do Teheranu zabrano go do szpitala i tam zmarł 20 kwietnia 1942 r. Dowiedzieliśmy się później, że przed śmiercią prosił, by odszukano mu żonę i siostry, ale nikt nie mógł tego dokonać w tym natłoku, gdzie więcej było chorych niż zdrowych. Z Teheranu zawieziono nas do Ahvazu, gdzie temperatura była wprost zabójcza +50° C. Ahvaz w języku perskim znaczy piekło. Leżeliśmy pod namiotami, nie można było wyjść na zewnątrz w tym upale. Byliśmy tam 5 miesięcy. Wracając jeszcze do Pahlevi i Teheranu. Persowie nosili w koszach gotowane jajka i rzodkiewki. Ludzie zgłodniaли kupowali i nieraz jedli za dużo na raz i potem chorowali lub umierali.

Afryka – Tanganika – Kenia

W sierpniu wyjechał transport do Karaczi w Pakistanie. Byliśmy tam miesiąc. Następnie okrętem przewieziono nas do Afryki przez port Dar-es Salaam nad Zatoką Zanzibar do osiedla Kidugali. Było to osiedle przygotowane przez Anglików dla polskiej ludności. Domki były chyba specjalnie dla nas budowane, bo niepodobne do murzyńskich szałasów plecionych z bambusów. Sypiali oni na matach rozłożonych na ziemi, chodzili nago, lecz straż pilnowała, by Murzyni zatrudnieni w osiedlu, nie chodzili nago. Prosimi nas o jakieś szmaty lub worki, w których wycinali dziurę na głowę i już koszula była gotowa. Choć dobrze pilnowano naszego osiedla, to jednak odwiedzali nas niekiedy Murzyni lub Murzynki całkiem nago, ale wtedy odprowadzano ich poza nasz teren.

Wieczorem nie można było wychodzić bez światła, bo lwy podchodziły pod domy. Gdy udało się tubylcom upolować lwa, była wielka radość w całym ich osiedlu. Murzyni oprowadzali procesjonalnie wóz z zabitym lwem tańcząc z radości. Simba, czyli lew zabity stanowił dla nich dzień święta. Bywały też polowania na boa-dusiciela. Wieszano go na wysokim drzewie a był tak długi, że sięgał aż do ziemi. Zdarzało się, że wydobywano z niego żywcem połkniętego zwierzaka.

Domki nasze były pokryte dachem, ale nie miały sufitów. Ponieważ było nas 4, więc przydzielono nam domek o czterech łózkach. Wszyscy byli zatrudnieni odpowiednio do swoich umiejętności. Łazienki i toalety były wspólne dla wszystkich mieszkańców. Kuchnia też była wspólna, trzeba było iść z naczyniami po obiad i kolację. Wracając do toalet, był to duży hangar pokryty dachem,

wewnątrz deski ułożone wzdłuż nad dziurami. W ten sposób kilkanaście osób mogło korzystać z toalety, ale nie było to bardzo przyjemne. Po zorganizowaniu szkoły, Stasia przerabiała kursy gimnazjalne i licealne w przyspieszonym tempie, by nadrobić czas stracony w Rosji. Uczyla się również haftu razem z Julią, nawet płacono za wykonane roboty, uczyła się również grać na fortepianie. Aniela pracowała w szwalni a Joanna była zatrudniona jako łączniczka.

Był w osiedlu duży kościół, który dawniej należał do protestantów. Był ksiądz, Niemiec, na msze św. przychodzili też Murzyni i bardzo ładnie śpiewali, ale w krótkim czasie kierownik osiedla, Anglik, zabronił Murzynom przychodzić na mszę św. razem z białymi i niedługo potem ksiądz Niemiec wyjechał. Parę miesięcy czekaliśmy na polskiego księdza.

W międzyczasie przez Czerwony Krzyż, dowiedzieliśmy się, że nasza siostra Eugenia została na Węgrzech, gdzie zawarła „białe małżeństwo” (zapłaciła za to) by otrzymać obywatelstwo węgierskie. Potem studiowała rzeźbiarstwo, lecz nie mogła w tym zawodzie pracować nie mając karty komunistycznej. Skończyła więc szkołę pielęgniarstwa i pracowała w szpitalu na dyżurach nocnych, miała trochę więcej czasu w dzień. Tam wstąpiła do Sióstr Serwitek Matki Boskiej Bolesnej, które na razie pod komunistami musiały się ukrywać. Brat Tadeusz przez Francję udał się do Anglii i tam ożenił się z Angielką Barbarą.

W tym czasie przyszło zawiadomienie, że dziewczęta mogą się zgłaszać do wojska żeńskiego jako „Pestki”. Postanowiłyśmy zgłosić się wszystkie, ale Stasia była za młoda, do Anglii pojechały tylko Joanna i Julia a Aniela i Stasia zostały w Kidugali. Pewnego dnia przyjechał do osiedla ksiądz Słapa na wizytację szkoły i na lekcji religii oznajmił, że w Kenii znajdują się zakonnice, które też przeszły przez Rosję i które przyjmują zgłoszenia do zakonu. Nie znałyśmy tych sióstr, ale napisałyśmy obydwie o przyjęcie. Gdy rozeszła się wiadomość po osiedlu o naszym postanowieniu, powstało wielkie zdziwienie. Nie mogło się to ludziom w głowie pomieścić, bo nie różniłyśmy się niczym od innych, chyba tylko tym, że chodziłyśmy co dzień na mszę św. Z wyborem Anieli łatwiej im było się pogodzić, ale po co bierze ze sobą dziecko? (Stasia miała 18 lat). Nawet jedna rodzina chciała zaadoptować Stasię, byle tylko nie jechała do zakonu.

Wyjazd do Kenii

W niedługim czasie przyszło do kierownika osiedla zawiadomienie, że ma nas wysłać do Kenii, do Rongai. W ostatni wieczór urządzono nam piękne pożegnanie przy obficie zastawionym stole, przeciągnęło się ono do późnych godzin i z nadmiaru wrażeń zapomnieliśmy nakręcić budziki. Obudził nas Murzyn, który miał nas zawieźć na stację. Tam spotkałyśmy pannę Wiktorię Malenczak, późniejszą s. Krystynę, z osiedla Ifudy, która też jechała jako kandydatka do zakonu. Podróż trwała około 2 tygodnie, ale nie miałyśmy żadnych kłopotów, gdyż koszt podróży, jak i wyżywienie, były z góry przez kierownictwo zapłacone. Dnia 15 lipca 1946 r. stanęliśmy na miejscu. Po raz pierwszy zobaczyłyśmy Siostry Nazaretanki, nigdy wcześniej ich nie widziałyśmy ani nie wiedziałyśmy, że takie istnieją. Ubrane były w białe fartuchy, prawdziwe habity nazaretańskie zobaczyłyśmy dopiero 15 sierpnia, gdy 10 sióstr składało śluby

wieczyste. Welonik postulancki otrzymałyśmy 20 lipca a razem w nami była też przysła s. Danuta i s. Elżbieta. Nie pamiętam imion wszystkich Sióstr. Przełożoną była Matka Regina a s. Alfonsa mistrzynią nowicjuszek. W Rongai byłyśmy około roku.

W 1947 r. władze angielskie zaczęły likwidować obozy. 8 sióstr pojechało do Polski, 2 miały jechać do Ameryki a 8 Sióstr i 5 postulanek do Anglii do szkoły w Pitsford. 26 sierpnia okręt Langiby Castle wypłynął z Mombassy. Ponieważ Morze Czerwone i Śródziemne były pełne min, okręt płynął dookoła Afryki. Miałymy szczęście zwiedzić wszystkie miasta portowe i wszędzie spotykałyśmy przyjaznych ludzi. Do Anglii, do Londynu, przyjechałyśmy 9 listopada. Witano nas serdecznie w Enfield, gdzie przełożoną była Matka Ancilla. Na drugi dzień udałyśmy się do Pitsford, gdzie czekały na nas s. Beata i s. Bonnoza oraz około 20 dzieci. Wielkie wrażenie zrobił na nas ten książęcy pałac i park, ale dość obrabowane podczas wojny. Zaraz na drugi dzień poszłyśmy zbierać ziemniaki na polu.

Wyjazd do Rzymu i do nowicjatu nastąpił w marcu. Po rekolekcjach miałyśmy obłóczyny 19 marca 1948 r. w Albano. Nie prosiłyśmy o imię: Aniela otrzymała imię Klemensy a Stasia Alicji. Przeżyłyśmy bardzo głęboko te ceremonie. Po nowicjacie pierwsze śluby miałyśmy w Albano w dniu 25 marca 1950 r. s. Klemensa po ślubach pełniła przez 5 lat obowiązki szafarki w domu paryskim a s. Alicja w Rzymie, na Machiavelli, uczyła się języka włoskiego, muzyki oraz była towarzyszką na wyjściach do miasta. Pomagała też Matce De Lourdes pisać na maszynie i na powielaczu konferencje Naszej Matki Założycielki. Pod koniec 1955 r. pojechałyśmy obydwie do Nowicjatu do Albano na przygotowanie do wieczystych ślubów, które złożyłyśmy w Rzymie na Via Machiavelli w Domu Macierzystym 17 marca 1956 r. Siostra Klemensa została na Via Machiavelli pełniąc funkcję ekonomki do 1964 r., następnie była ekonomką w nowym domu generalnym na Via Nazareth aż do śmierci 17 maja 1987 r. Siostra Alicja po wieczystych ślubach była w Albano organistką i ekonomką. W Anglii była pod koniec 1957 r, i w r. 1958 by zastąpić s. Benedyktę, która była wychowawczynią gimnazjum a która pojechała na przygotowanie do ślubów wieczystych. Po powrocie s. Benedykty, s. Alicja wróciła do Albano, gdzie była ekonomką i organistką a równocześnie jeździła do Rzymu, by zastąpić chorą organistkę M. Krystynę. W 1960 r. otrzymała licencjat muzyki i śpiewu gregoriańskiego. We wrześniu 1965 r. została wysłana do Francji do Sallaumines na przełożoną. Musiała uczyć się dopiero języka francuskiego, zwyczajów tego kraju i regionu, sposobów uczenia katechizmu itd. Dom w Sallaumines był otwarty w 1959 r. Na początku było 5 sióstr, potem 4, potem 3. Na końcu zostało nas tylko dwie s. Ewa i s. Alicja. Byłyśmy we dwie przez 6 lat. Pracy było dużo w parafii: katechizacja, odwiedzanie chorych itd. Siostra Ewa umarła nagle 11 lipca 2002 r. Siostra Alicja nie mogła zostać sama, bo życie zakonne jest we wspólnocie, przeniosła się do Paryża do Sióstr na rue de Vaugirard.*

*Redakcja „Zesłańca” serdecznie dziękuje Pani Prof. dr hab. Elżbiecie Treli-Mazur z Uniwersytetu Opolskiego za przekazanie nam wspomnień s. M. Alicji przebywającej w domu zakonnym w Paryżu.

Wojna rozproszyła nas po całym świecie: Mama umarła i jest pochowana w Kazachstanie; Tata i siostra Amalia umarli i są pochowani w Uzbekistanie; brat Józef umarł i pochowany był w Teheranie; Aniela, siostra Klemensa, pochowana w Rzymie; Eugenia, siostra Filipa, pochowana na Węgrzech; brat Tadeusz pochowany w Anglii. **Żyjący:** Joanna, s. Dolores, mieszkała w Ameryce, New Jersey (zmarła 11.06.2006 r.); Julia z mężem Michałem Szypowskim są w Kanadzie w Kingston (syn i córka), oboje zmarli w 2007 r.; Barbara, bratowa jest w Anglii (1 córka, 2 wnuczki).

+ **Ufam, że wszyscy spotkamy się w niebie.**